



WINTER RENSHAW

DS
RZUCAM CI
WYZWANIE!

POSTSCRIPTUM #3

 editored

Tytuł oryginału: P.S. I Dare You (P.S. #3)

Tłumaczenie: Olgierd Maj

ISBN: 978-83-283-6879-8

P.S. I DARE YOU © 2018 by Winter Renshaw

Polish edition copyright © 2021 by Helion SA
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/pszu3>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

4

CALDER

WBREW sobie przyciskam w windzie guzik piętnastego piętra.

Moja krew jest na zmianę gorąca jak ogień i zimna jak lód.

Do windy wciska się pięciu facetów w garniturach i pod krawatem. Dwóch z nich rozmawia o pogodzie, po czym wysiadają na następnym poziomie, pozostali przyglądają się moim wystrzępionym dżinsom i bawełnianej koszulce henley. Ich egzystencja w garniturach od Armaniego byłaby dla mnie śmiertelnie nudna. Są jak więźniowie, tyle że zamiast pomarańczowych uniformów mają na sobie garnitury i nie siedzą w celach, lecz w narożnych biurach.

Ale skoro to ich uszczęśliwia...

Zatrzymujemy się na piętnastym piętrze. Wszystko wygląda dokładnie tak samo, jak prawie dekadę temu, gdy tu ostatnio byłem. Ta sama szemrząca fontanna. Te same marmurowe posadzki. W holu zmieniono jedynie kanapy: teraz pokryte są rdzawą skórą, a nie kraciastym materiałem. Wygląda też na to, że teraz do dyspozycji pracowników jest też mała kawiarnia z prawdziwym bariścią i w ogóle.

— Dzień dobry, w czym mogę pomóc? — pyta dziewczyna niewiele starsza ode mnie, trzepocząc rzęsami i unosząc się zza biurka.

Zerkam na zegarek i podchodzę bliżej. Gdy na nią spojładam, widzę w jej oczach błysk rozpoznania.

— Och, to pan... Proszę chwilę poczekać — mówi, pochylając się nad biurkiem i przekładając papiery. Podnosi słuchawkę i wciśka trzy przyciski pomalowanymi na szarobrązowo paznokciami. — Syn pana Wellesa przyszedł, żeby się z nim zobaczyć. Dobrze. — Odkłada słuchawkę. — Proszę iść tym korytarzem na lewo, zameldować się Marcie, a ona pana zaprowadzi... do biura pańskiego ojca.

Widzę, jak przetyka ślinę i jej gardło się porusza. Patrzy na mnie, jakbym był jakimś mitycznym jednorożcem, o którym do tej pory nie wiedziała, czy naprawdę istnieje.

Kiwam głową na znak podziękowania i kieruję się korytarzem na lewo.

Dwa dni temu byłem w Telluride, zajęty własnymi sprawami, gdy otrzymałem wiadomość, że mój ojciec umiera... I oto jestem, stawiałem się tu na życzenie umierającego.

Jestem pewny, że to czyni ze mnie świętego czy kogoś w tym rodzaju.

Na końcu korytarza widzę półokrągłe biurko w kolorze espresso, zza którego wystaje czubek głowy platynowej blondynki.

Najwyraźniej usłyszała ciche odgłosy moich tenisówek na marmurowej posadzce, bo unosi głowę, uśmiecha się i wstaje.

— Ty musisz być Calder — mówi, wychodząc zza biurka w wyciągniętą prawą ręką. — Jestem Marta.

A więc... myliłem się, zakładając, że Marta wygląda jak starsza pani ze środkowego zachodu.

Bardzo się myliłem.

Marta jest co najwyżej po trzydziestce. Jej platynowe włosy obcięte są na pazia, ma na sobie obcisłą ołówkową spódnicę i białą koszulę zapinaną na guziki — najwyższe z nich są rozpięte, ukazując

jej obfite piersi, zbyt idealne, żeby mogły być prawdziwe. Z jej uszu zwisają diamentowe kolczyki. Gotów byłbym się założyć, że to prezent od mojego ojca na „dzień asystentki”.

Najwyraźniej nie zatrudnił jej wyłącznie ze względu na to, że jej głos brzmi mile przez telefon.

A już myślałem, że może mój ojciec się zmienił.

Nie mogę się nie zastanawiać, co jego obecna żona — Lisette — myśli o tej asystentce. Nie powinienem spekulować, ponieważ nigdy nie poznałem Lisette, ale widziałem ją na zdjęciach — wygląda dokładnie tak, jak spodziewałbym się, że może wyglądać czwarta żona mojego ojca.

— Bardzo się cieszę, że dałeś radę przyjechać — mówi Marta, uśmiechając się szeroko. Dostrzegam ślad szminki na jej zębach, ale nic nie mówię, nie chcę wprawiać jej w zakłopotanie. I tak wydaje się nieco zdenerwowana, głos jej drży. — Twój ojciec szykował się na to spotkanie przez cały poranek. Jest bardzo podekscytowany tym, że cię zobaczy. Czy masz ochotę na kawę? Mogę po nią wysłać.

— Nie, dziękuję. — Odchrząkuję i zaglądam w głąb korytarza, gdzie znajdują się wysokie na ponad trzy i pół metra podwójne drzwi, które mój ojciec sprowadził z Włoch pewnego lata. Na środku każdego skrzydła znajduje się logo WellesTech Media, oczywiście ręcznie rzeźbione przez jakiegoś artystę z Paryża, a na złotych klamkach widnieje herb rodzinny Wellesów.

— Oczywiście. — Marta znowu się uśmiecha i widzę, że czerwona szminka na jej zębach teraz wygląda jak rozsmazany różowy ślad. To jest przynajmniej mniej widoczne. — Odprowadzę cię.

Idę kilka kroków za nią, trzymając dłonie w kieszeniach. W wyłożonym marmurem korytarzu na ścianach wiszą olejne portrety mojego ojca z różnych lat.

Nie spodziewałbym się niczego innego.

Marta idzie pewnym krokiem, kołysząc biodrami, co jest zabawne, biorąc pod uwagę, że nadal brzmi, jakby potrzebowała rozpaczliwie zażyć coś na uspokojenie.

Puka trzykrotnie do drzwi, po czym otwiera je i wchodzi do środka.

— Panie Welles, przyszedł pański syn — mówi, po czym otwiera drzwi szerzej i zachęca mnie gestem, żebym wszedł do środka. — Proszę mnie zawołać, gdyby czegokolwiek panowie potrzebowali.

Mój ojciec przygląda mi się z beznamiętnym wyrazem twarzy. Nie wstaje zza biurka, co zupełnie mi nie przeszkadza. Nie mamy w zwyczaju wymieniać uścisków z nikim, a już na pewno nie ze sobą.

— C.J. — mówi, podnosząc się i poprawiając czerwony krawat.

Minęło z bite dziesięć lat, odkąd ktokolwiek zwrócił się do mnie w ten sposób.

Calder Junior... jak mówił do mnie ojciec, gdy dorastałem. Moja mama też zawsze mówiła do mnie „C.J.”. Mówiła, że to najprostszy sposób, żeby nas rozróżnić.

A poza tym uważała, że to urocze.

— Może usiądziesz? — Ojciec wskazuje obity oliwkowozielonym zamsem fotel dla gości, który stoi naprzeciwko niego.

Zaciskam usta i wypuszczam powietrze, po czym siadam, pragnąc, żeby to przedstawienie jak najszybciej dobiegło końca.

Jedynym powodem, dla którego tu jestem, jest paląca ciekawość, jakie to sprawy dotyczące majątku musi ze mną przedyskutować osobiście.

Może to pułapka. Może zarzucił przynętę, a ja dałem się złapać. Ale to nieistotne, ponieważ nie może mnie zmusić do zrobienia niczego, czego nie chciałbym zrobić.

— Dobrze cię widzieć, synu — mówi, siadając.

Worki pod jego oczami sugerują wykończenie. Skóra na dłoniach jest cieńsza niż pamiętam i ukazuje niebieskie żyły, ale tak

poza tym wygląda tak, jak go zapamiętałem, czyli jak stary bogaty biały człowiek. Jestem pewny, że na koniec wszyscy wyglądają tak samo.

Ale nie wygląda na umierającego. Jego policzki są lekko zarumienione, spojrzenie jasne. No i jest tutaj, w pracy, prawda?

— Dziękuję, że przyszedłeś. Wiem, że nie było to dla ciebie łatwe. — Mój ojciec nie jest głupi. Uważa, że podziękowanie mi i przyznanie, że przyszedłem tu z własnej woli, zmiękczy mnie, ale jest w błędzie.

— Co chcesz ze mną omówić?

Jego cienkie wargi wyginają się na chwilę, po czym na twarz powraca poprzedni wyraz.

— Racja, powinniśmy po prostu przejść do rzeczy. Jestem pewien, że jesteś zajęty, musisz odwiedzić wiele miejsc i ludzi.

— Owszem.

Jego niebieskie, lśniące jak paciorki oczy spoglądają w moje ponad przykrytym szkłem blatem.

— Chciałem z tobą porozmawiać o przejęciu WellesTech Media.

— Nie ma mowy. — Zaciskam szczęki.

— C.J. — Mój ojciec przekrzywia głowę na jedną stronę i chociaż, ale dla mnie to nie jest śmieszne. — Zbudowałem to wszystko... moje imperium... dla ciebie.

— Gówno prawda.

— Rozmawiamy tu o twoim dziedzictwie. O tym, co przysługuje ci z urodzenia. Marta powiedziała ci, że ja...

— Tak, ale to niczego nie zmienia. — Patrzę na niego z wściekłością. Nie jestem w stanie rozluźnić mięśni twarzy.

Odchyła się do tyłu, skórzane krzesło skrzypi. Ojciec przeciąga pomarszczoną dłońią po swojej brodzie, przyglądając mi się uważnie.

— Sprawa wygląda tak, C.J. — tłumaczy. — Jeśli ty nie chcesz WellesTech, w porządku. Ale będę zmuszony sprzedać firmę. Jak wiesz,

jest warta miliardy dolarów, więc liczba potencjalnych kupujących naturalnie nie jest zbyt duża.

— Jestem pewny, że nie będziesz miał problemu ze znalezieniem kogoś.

— W tym rzecz. Już to zrobiłem. — Pochyla się do przodu i opiera łokcie o blat. Po jego prawej stronie stoi pojemnik z jego ulubionymi złotymi długopisami, niemal zbyt pełny. — Samuelson-Barnes Group.

Nie widzę już mojego ojca.

Robi mi się czerwono przed oczami.

Wstaję, odsuwając z hukiem fotel, i ruszam do drzwi, ale gdy tam docieram, zatrzymuję się w miejscu i zaciskam dłoń w pięść.

Odwracam się do niego.

— Dlaczego? Dlaczego w ogóle rozważałbyś coś takiego?

— Od lat pragną nas kupić — odpowiada.

Nas.

Tak jakby WellesTech miało cokolwiek wspólnego ze mną.

— I złożyli nam bardzo szczodłą ofertę — dodaje. — Byłbym głupi, gdybym ją odrzucił.

— A więc dlatego mnie tu wezwałeś? Żeby dać mi ultimatum? Albo przejmę WellesTech, albo sprzedasz firmę ludziom, którzy ponoszą wyłączną odpowiedzialność za śmierć mojej matki?

— Wiem, że to nie wygląda dobrze, ale musisz zrozumieć, ja...

Przecinam dłonią powietrze i odwracam się do niego plecami.

— W dupie mam twoje powody.

Chwytam za klamkę. Biorę haust powietrza i zatrzymuję je w płucach, zastanawiając się, co to wszystko dla mnie oznacza i w jakiej sytuacji mnie stawia.

Jeśli przejmę firmę, będę mógł ją sprzedać, komu tylko zechcę. Ale to oznacza, że będę zmuszony nauczyć się, jak ją prowadzić, zapoznać się z jej codziennym funkcjonowaniem i tak dalej.

Pociągnęłoby to za sobą spędzanie dużej ilości czasu w towarzystwie mojego ojca — dzień za dniem — co jest dla mnie koszmarem.

Ale jeśli tego nie zrobię... jeśli nie przyjmę jego oferty... WellesTech przejdzie na własność Samuelson-Barnes Group, a gdy mój ojciec umrze, odziedziczę ich brudne pieniądze.

Ten drań bez serca nie daje mi wyboru.

— Pomyślałem, że może chciałbyś się dowiedzieć, jak to działa — mówi łagodniejszym tonem. — Mogę cię wszystkiego nauczyć, C.J., dopóki jeszcze jestem w stanie. Kto wie, ile czasu...

— Przestań — przerywam, znowu odwracając się do niego twarzą. — Jeśli sądzisz, że przypominanie mi co dwie sekundy, że jesteś umierający, wywoła u mnie współczucie, zaszczerpi szacunek do ciebie lub pozwoli mi ci wybaczyć, to się grubo mylisz.

Unosi dłonie i wysuwa podbródek.

— Rozumiem.

— Muszę... muszę to przemyśleć. — Zamykam oczy i ściskam nasadę nosa. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle rozważam jego ofertę. Jeszcze kilka minut temu byłem gotowy powiedzieć mojemu ojcu wiele różnych rzeczy, ale to nie była jedna z nich.

— Jeśli się zgodzisz, wszystkim się zajmę. Zatrudnię ci nawet asystentkę, konsjerżkę, żeby ułatwić ci życie. Będziesz bardzo zajęty i będziesz potrzebować kogoś, kto zrobi ci zakupy i tak dalej. Nie będziesz się musiał niczym martwić.

— Nie potrzebuję, żeby ktoś robił za mnie zakupy. Podoba mi się to, jak się ubieram. — Zerkam w dół na granatowy materiał mojej koszulki.

— Ktoś będzie ci gotował — kontynuuje ojciec.

— Mogę zamówić jedzenie. I nie podoba mi się pomysł, że ktoś mógłby się szarogęsić w mojej kuchni.

— Ktoś, kto załatwi twoje sprawy, zarezerwuje bilety na podróż...

— Mam cessenę. Nie potrzebuję rezerwować biletów — odpieruję.

— Będzie mogła przynajmniej dotrzymać ci towarzystwa. Asystentki są po to, żeby pomagać, i czasami obejmuje to dopilnowanie, żeby *wszystkie* twoje potrzeby... zostały zaspokojone.

— Możesz mi wierzyć, że nie mam najmniejszego problemu z zaspokajaniem moich *potrzeb* — mówię z obrzydzeniem do człowieka siedzącego po drugiej stronie pokoju. — I *nigdy* nie naraziłbym mojego pracownika na coś takiego.

— Oczywiście, że nie — zgadza się nazbyt pospiesznie. — Jesteś dobrym człowiekiem, C.J. Lepszym, niż ja byłem kiedykolwiek. Nie myśl, że tego nie widzę.

To włożenie mi w tyłek nie jest konieczne. Wystawia się jedynie na pośmiewisko i nawet tego nie widzi.

Zaciskam dłoń na klamce, której jeszcze nie puściłem. Metal zapewne odcisnął się już na mojej dłoni.

— Wiem, że na nic od ciebie nie zasługuję. — Głos mu się łamie, jednak moje serce pozostaje twarde. — Chcę tylko, żebyś otrzymał po mnie to, co najlepsze... Przynajmniej tyle mogę ci zaoferować po... wszystkim.

Wszystko.

Jestem pod wrażeniem tego, jak potrafi zamknąć tyle lat bycia głównianym rodzicem w jednym słowie, takim jak *wszystko*.

Jest tyle rzeczy, które chciałbym mu powiedzieć i które podchodzą mi do gardła, ale teraz nie jest dobry moment.

— Muszę już iść. — Nie czekam na pożegnanie.

Otwieram drzwi i robię dwa kroki, po czym wpadam na ładną, drobną brunetkę niosącą mrożoną kawę z firmowego baru.

To znaczy, jeszcze *przed chwilą* ją niosła.

Teraz ma ją na sobie.

Na swojej białej bluzce.

Bądźmy szczerzy: to *ona* wpadła *na mnie*. Kto u diabła przechodzi tak blisko drzwi, które mogą się otworzyć w każdej chwili? Powinno się iść środkiem korytarza, na litość boską.

Jej różowe usteczka wyginają się w kształt litery „o”, a oczy w kolorze miodu błyskają gniewnie. Materiał bluzki lepi się jej do skóry, pokazując kwiecistą koronkę biustonosza, a krople brązowego płynu spływają za dekolci.

Pomijając kwestię kawy, nie mogę nie zauważyć, że jest wyjątkowo atrakcyjna. Ma drobny nosek, szpiczasty podbródek i gęste, czarne rzęsy. Ciemne, lśniące włosy sięgają jej do ramion, są rozdzielone niesymetrycznym przedziałkiem i potraktowane prostownicą. Zakłada je za jedno ucho i żaden kosmyk nie znajduje się nie na swoim miejscu.

Jestem pewny, że jest równie drętwa, co atrakcyjna, i jestem też przekonany, że jedynym powodem, dla którego mój ojciec ją zatrudnił, jest to, że pasuje do jego typu: figura klepsydry, młodość, lśniące oczy, pełne wargi. Jest na tyle młodziutka, że nie straciła jeszcze chęci przypodobania się.

— Naprawdę powinnaś patrzeć, dokąd idziesz — prychem z irytacją, zerkając ponad jej ramieniem.

Otwiera różowe usteczka, żeby coś powiedzieć, jednak ja już idę dalej. Zatrzymuję się na chwilę przy biurku Marty, gdzie wyjmuję z portfela banknot pięćdziesięciodolarowy i podaję jej.

— Na pralnię — mówię, wskazując za siebie. — Dla dziewczyny z kawą.

Marta ściąga brwi i powoli wyciąga rękę.

— Jaaasne — mówi z wahaniem.

Potem zrozumie.

Na razie muszę lecieć. Mam się nad czym zastanawiać.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Jeśli nie masz serca, nikt ci go nie złamie...

Aerin Keane uważano za jedną z najlepszych konsjerżek w Stanach. Była doskonale zorganizowaną perfekcjonistką. Słowem – idealna asystentka dla wyjątkowo wymagających i drobiazgowych osób. Jej usługi nie były tanie, a ona mogła przebierać w ofertach. Kiedy jednak otrzymała propozycję pracy z kilkunastokrotnie wyższą pensją niż zwykle, niemal od razu zdecydowała się ją przyjąć.

Tę niezwykłą ofertę złożył Calder Welles, miliarder i budowniczy imperium. Był śmiertelnie chory, potrzebował następcy, a następca – prawej ręki, która pomogłaby mu w nowych obowiązkach. Jednak Calder junior, zmuszony do przejścia firmy, nie chciał mieć nic wspólnego z zatrudnioną przez ojca konsjerżką. Nienawidził go, nie znosił korporacyjnych układów i chciał jak najszybciej powrócić do swojego wygodnego życia – wolnego od większych trosk i jakichkolwiek zobowiązań.

Pedantyczna Aerin wzbudzała w nim mieszane uczucia. Była mu zwyczajnie potrzebna, poza tym... pociągała go jak mało która kobieta. Tyle że jej tupet, temperament i bezpośredniość były nie do przyjęcia. Bardzo chciał utrzymać jej nosa. Ale jeszcze bardziej – przestać o niej myśleć. Dziewczyna co rusz rzucała mu wyzwania.

Aerin wcale nie było łatwiej. Wysoki, przystojny Calder bywał czarujący, ale za moment potrafił się zamienić w aroganckiego dupka. Podobał jej się, choć jednocześnie go nie znosiła. Pożądała go, jednak nawet gorący seks z nim był pełen złości. Calder, piękny jak grecki bóg, każdym swoim gestem rzucał jej wyzwania...

WINTER RENSHAW jest autorką bestsellerowych powieści i niepoprawną marzycielką. Mieszka w środkowej części Stanów Zjednoczonych wraz z mężem, trójką dzieci i dwoma zabawnymi psami. Uwielbia pisać i rzadko jest widywana bez ulubionego notatnika i laptopa. Jako Minka Kent pisze również thrillery psychologiczne.

 editio red

 Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

 Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:

- 📌 <http://editio.pl/promocje>
- 📌 Książki najchętniej czytane:
- 📌 <http://editio.pl/bestsellery>
- 📌 Zamów informacje o nowościach:
- 📌 <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:

ebookpoint



ISBN 978-83-283-6879-8



Cena 39,90 zł